

Boże, gdzież te dobre czasy, kiedy się wariowało z miłości? Dziś wariuje się częściej, to fakt, lecz mało kto pozwala sobie na luksus wariactwa z powodu spraw sercowych, ważniejsze mamy na głowie. Nerwice nas gubią, są chorobą społeczną, lecz nerwice wywołane tempem życia, przepracowaniem, chałasem, że wspomnę tylko o najgłośniejszych powodach... „Wielkie obłąkane” znane z historii opery czy dramatu stały się anachronicznym przeżytkiem. Podziwiamy, ale nie zazdrościmy; postradać zmysły jedynie dlatego, że wyszło się za mąż z rozsądku? Bardzoż już można zrozumieć, że dągnęło się niepożądanego męża sztyltem, wyglądał bowiem — w krakowskiej inscenizacji — bardzo niesympatycznie i prawdopodobnie trudno z nim było, istotnie, wytrzymać w jednej sypialni.

Bądźmy jednak poważni. „Łucja z Lammermooru” już dzisiaj nie wzrusza, bo opera w ogóle wzrusza rzadko, przypominając na każdym kroku o tym, że sytuacja jest sztuczna, zainscenizowana, że przecież to nieprawda (o czym można czasem zapomnieć w dobrym teatrze lub na dobrym filmie). Takie są prawa gatunku.

Oczywiście i tutaj bywają wyjątki. Gdy Mimi długo umiera, gdy Violetta poświęca się i umiera również, gdy umierają w dodatku głosami Callas czy Tebaldi, wtedy, być może, błyśnie w oku łza. Lecz w zasadzie, opera nie jest po to. Opera

Oglądane w Teatrze Muzycznym

Łucja z Lammermooru

jest przede wszystkim sztuką do imponowania, sztuką, którą należy podziwiać. Stąd monumentalne gmachy, typu nasz Teatr Wielki, które już narzucają atmosferę wielkości tego, co się za chwilę zobaczy, stąd do potocznego słownictwa wkradły się określenia „operowy styl”, „operowe dekoracje”, na wszystko co pompacyjne, co zrobiono z myślą o tym, by patrząc, względnie słuchając rozdziawiać z zachwytu buziaki: jakie to duże, jakie to kosztowne!

Istnieje jeszcze jeden sposób wywołania w operze zachwyty. Ten właśnie, który wybrał Donizetti. Najrozsądniejszy.

Podobno w zamiśle librecisty przenoszącego na scenę powieść Waltera Scotta „Łucja” miała stać się potężna historyczna kolubryna, ze sceną uginającą się pod przepychem pałacowych wnętrz i tłumem zakutych w bogate zbroje chorążów-rycerzy. Donizetti odrzucił jednak wszystkie tego typu sugestie. Jego muzyka przesunęła akcenty z historycznych na psychologiczne. Jego opera jest na pół kameralna, koncentrująca całą uwagę na

stronie wokalne. Donizetti postanowił zatem zachwyć publiczności osiągnąć poprzez odtwórców głównych partii dzieła, dając im — szczególnie w partii Łucji — wspaniałe pole do popisu.

I cel osiągnął w stu procentach, jeżeli „Łucja z Lammermooru” pozostała do dziś najpopularniejszym, najwybitniejszym jego dziełem, to właśnie ze względu na to, co uczynił dla śpiewaków.

Jest to utwór złożony ze sprzeczności. Ponurą historię Romea i Julii z mrocznych szkockich zamków, historię pięknej Łucji zakochanej w przedstawicielu wrogiego rodu Ravenswoodów i zmuszonej do małżeństwa z rozsądku z wpływowym lordem Bucklaw, opowiedział... bel cantem. Śpiewem, który najmniej na świecie nadaje się właśnie do takich tragedii i takiej scenerii. A przecież — powstała całość bardzo jednolita. Środki wyrazu jakie obrał Donizetti nieoczekiwanie okazały się bardzo na miejscu, zatem — sukces talentu, zwycięstwo talentu nad teoretycznymi rozważaniami.

Krakowska inscenizacja „Łucji” poszła po słusznej linii sprowadze-

nia wszystkiego do tła, dla głównych bohaterów. Scenografia (Tadeusz Grandal) nie nachalna, a jednocześnie świetna w nastroju (kostiumy tylko nie zawsze wydają się udane), reżyseria (Sławomir Żerdzicki) eksponująca główne postacie, zachowująca ascezę i surowość stylu i nadająca całości bardzo dobre tempo, dobry rytm widowiska... Dawno już nie oglądaliśmy w krakowskim Teatrze Muzycznym spektaklu tak prostego i tak zwartego, tak czystego inscenizacyjnie.

Mówił niedawno legendarny dyrektor Metropolitan Opera, Rudolf Bing, o tym jak prosta jest w gruncie rzeczy jego praca: „Nie trzeba się ucale znać na muzyce, aby obsadzać spektakle w Metropolitan. Jeśli wystawia się „Łucję”, z góry wiadomo, że trzeba wziąć Joan Sutherland, jeśli „Turandot”, to tylko Birgit Nilsson, jeśli „Toscę” — to Renatę Tebaldi... Problemy zaczynają się dopiero dla dyrektora Opery w Magdeburgu, gdy ma wystawić „Łucję” i dysponuje sześcioma sopranami, które mogą ją zaśpiewać. Taki, musi już coś wiedzieć o śpiewie!”

Rozumując w ten sposób, łatwo dojść do wniosku, że dyrektor Kord nie miał żadnej przedpremierowej rozterki. Wiadomo, że Łucję musi u nas śpiewać Jadwiga Romańska. To też zaśpiewała. Bardzo pięknie! Partia Łucji stała się jej nowym, dużym sukcesem. Swoboda z jaką pokonywała ogromne trudności wokalne, piękno i siła głosu, świetna dykcja, a przede wszystkim podawanie każdej frazy w sposób świadczący o pełnym zrozumieniu tego co śpiewa, o podbudowaniu partii Łucji nie tylko wiedzą muzyczną, lecz i psychiczną — wszystko to złożyło się na prawdziwe wydarzenie naszego sezonu muzycznego. Premiera „Łucji z Lammermooru” należała do Romańskiej!

Bardzo dobrze wypadł także Kazimierz Myrlak (Edgar), a także Wincenty Głodek (lord Ashton), Bolesław Pawlusz (lord Bucklaw) i Tadeusz Podsiadło (kapelan). Powiernikami dwójka zakochanych byli: Waleria Szajowska i Stefan Starzyk.

Kierownictwo muzyczne sprawował Roman Mackiewicz. Zdziwiałoby co prawda niektóre tempa (choćby tempo słynnego sekstetu „Chi mi frena” z II aktu), w sumie jednak orkiestra dobrze została przygotowana i „Łucja” posiadała właściwą oprawę muzyczną.

To interesujący spektakl. Atrakcyjny i trafnie wystawiony.

LUCJAN KYDRYŃSKI